



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół. kwartal. 5 marek.

KILKA SŁÓW O LEOPARDIM

z powodu setnej rocznicy jego urodzin.

Sto lat minęło od chwili, gdy ujrzał światło dzienne największy geniusz pesymizmu Giacomo (Joachim) Leopardi, urodzony w Recanati dnia 20 Czerwca 1798 roku; rodzice jego hrabia Monaldo Leopardi i Adelajda z margrabiów Anticich, należeli do dawnej arystokracji włoskiej; zaburzenia polityczne pozbawiły ich znacznego mienia przodków, z którego pozostały odłużony mająteczek wystarczał zaledwie na skromne utrzymanie rodziny, składającej się z rodziców i trojga dzieci: Karola, Giacomina i Pauliny, połączonych serdecznym przywiązaniem. Giacomo, od urodzenia słaby i wątły, był szczególnie pieoszony i kochany.

Bardzo szczupłe środki utrzymania nie dozwalały hrabiemu Leopardi wiele łożyć na kształcenie dzieci, jednakże sam zamięłowany w nauce, posiadał bogatą bibliotekę, a w niej skarby starożytnej cywilizacji, którą zajmować się lubił.

Giacomo, obdarzony niezwykłą bystrością umysłu, niezmiernie szybko postępował w naukach; początków udzielał mu Józef Torres, a następnie Sebastyan Sacchetti, obadwaj nauczyciele byli stanu duchownego i przede wszystkim zaznajomili swego ucznia z zasadami wiary katolickiej. Od czternastego roku życia, młody chłopiec pozostawiony był samemu sobie; rozbudzone w nim pragnienie wiedzy nie dawało mu spokoju, nie bacząc na wątłe siły fizyczne, dni i noce przepędzał pochylony nad książką lub pisaniem. W otoczeniu swoim nie znajdował oporu i tym sposobem przez nadmierną pracę wstrzymywał rozwój fizyczny, wzbogacając, ko-

sztem zdrowia, umysł głęboką nauką. Brat jego Karol tak pisze w swych pamiętnikach: „Sypialiśmy w jednym pokoju, a wiele razy obudziłem się wśród nocy, zawsze oczy moje spotykały się z pochyloną nad stołem postacią brata i nieraz blade światło dopalającej się świecy zastępowało wschodzące słońce...”

Sam, bez żadnej pomocy, Leopardi nabył tak wielkiej wprawy w języku greckim, że władał nim z równą jak włoskim łatwością; najlepszym tego dowodem są dwie ody w tym języku napisane: „Do miłości” i „Do księżycy,” uznane za autentyczne i jako takie do wiadomości publicznej podane przez filologów niemieckich. Trochę później Cesari uznał za starożytny i za takowy wydrukował tekst łaciński: „O życiu i męczeństwie pięćdziesięciu pięciu ojców kościoła,” napisany przez Leopardiego.

Kiedy wyczerpał już nagromadzone w bibliotece ojcowskiej skarby literatury starożytnej, młody uczonec z równą energią i zapałem zabrał się do studyowania języków współczesnych i znów bez nieczyjej pomocy przyswoił sobie języki: francuzki, hiszpański, niemiecki i angielski tak, że z wszelką swobodą mógł się posługiwać nimi, tak w mowie, jak w piśmie.

Dante i Shakespeare stali się jego mistrzami; pełen mistycznej grozy i patryotycznych uniesień, włoski poeta jasno i zrozumiale przemawiał do duszy młodzieńczej, miotanej od lat najmłodszych aspiracyami u wolnienia z więzów najczystszych ukochanej Italii, budzącej się z długiego odrętwienia. Każdy dzień nowe przynosił nadzieje lub posępne wieści o szlachetnych porwach i dążnościach, których nagrodą była śmierć haniebna, wygnanie lub więzienne katusze. Wtedy to w wyobraźni młodzieńczej kraj rodzinny przybierał postać dantejskiego piekła, w którym szatani pastwili się bezkarnie nad cnotą i poświęceniem. Przecudnej piękności sześć poezji powstało wtedy; do tego cyklu zaliczyć wypada:

„Do Italii,” „Na pomnik Danta,” „Do Angela Mai,” „Do siostry w dzień ślubu,” „Do zwycięcy” i „Brutus młodszy.” Jednym z najpiękniejszych jest wiersz „do Italii.”

Shakespeare roztoczył przed oczyma duszy poety całą potęgę uczuć serdecznych i zbrodni-czych, czar miłości, bóle zawodu i zwątpienia, wieczny dramat życia ludzkiego. Ale potężny geniusz poety, zamknięty w biednym, schorzałym ciele, musiał żyć sam z sobą, z teorii tylko znając to, czem młodość i siła darzy najpospolitsze istoty, okala urokiem najbiedniejsze warunki życiowe. Serce młodzieńcze domagało się jednak praw swoich, Leopardi kochał, ale w beznadziejnej miłości, wybuchał tylko gorzką skargą, dając cykl poezji pełnych goryczy, w prześliczną ujętych formę. Wśród tych psalmów boleści weźmy początkowe strofy poezji: „Pierwsza miłość:”

Nazawsze pamiętną mi chwila,
Gdy miłość zrodziła się w memsercu,
Był to ból srogi, rzekłem: O jak cierpieć!...
Jest-li miłością ta męczarnia?
Wzrok utkwilem w ziemi, a jednak
Obraz tej, co pierwsze wzbudziła uczucie
Stał wyraźnie przed memi oczyma.
O miłości! jakże smutną oddałaś mi przysługę:
Zamiast słodczy i niebiańskich rozkoszy,
Darzysz mnie pragnieniem i bólem!
Nie, miłość moja nie była ukojeniem duszy;
Gwałtownie biorąc serce w posiadanie,
Skargi tylko i złorzeczenie wywołała.

Leopardi malował tylko ból, zawody, cierpienia, ale forma w którą je ujmował była tak piękną, iż współcześni mówili o nim, że „rajską mową piekielne opisywał męczarnie.”

W lekkich zarysach podawasz pierwsze kroki znakomitego pisarza, jako lingwisty i poety, z kolei mówić nam o nim wypada jak o filozofie, który rzucił pierwsze zasady tak bardzo następnie wyzyskanej *filozofii rozpacz*. Leonardi urodzony i wychowany wśród górzystej okolicy, bogatej w malownicze widoki, otoczony kochającą rodziną, miał serce otwarte dla uczuć serdecznych, duszę wrażliwą na piękności natury, charakter łagodny marzyciela i uczonego; wiara, zaszczipiona przez tych, co prowadzili pierwsze wykształcenie, cechowała pierwotne jego utwory. Trwało to jednak zbyt krótko; niemoc i cierpienia fizyczne obudziły w nim straszną gorę, jakoby poczuł wyrządzonej sobie ciężkiej krzywdy, niesprawiedliwości rządzącej światem. Szukał ukojenia w badaniach filozoficznych, trudnych do wyjaśnienia zagadnieniach przeznaczenia ludzi i narodów i tak zabił w sobie wiarę, stawiając na jej miejsce wątpliwość, a w końcu zupełny ateizm, do czego nie mało przyczynił się stosunek przyjazny ze słynnym podówczas pisarzem Giordanim, o wiele starszym od Leopardiego. Posępna filozofia, podająca śmierć jako cel i wyzwolenie, mało znalazła adeptów wśród gorących synów południa, odczuwających zbyt silnie rozkosze życia, namiętną miłość i nienawiść; to też zachwycając się urokiem formy, nie przejmowano się zbyt mocno treścią utworów Leopardiego. Filozofia nicości, pesymizmu i rozpacz, by dojrzeć i stać się systemem, potrzebowała bladej nieba Germanii i ciężkich umysłów niemieckich uczonych.

Dzieła Leopardiego obiegały świat cały w oryginalnej i w tłumaczeniach, zaszczipiając mniej lub więcej smutku i wątplenia w duszach czytelników, a w Niemczech posłużyły za podstawę filozofii Schopenhauera i Hartmana, którzy z nich zaczerpnęli całą swą wiedzę i niby nowy system poglądów. Biedny Leopardi z sercem żywo odczuwającym cierpienia ludzkości, w miejsce pociechy i odwagi do życia, podał jej rozpacz i żądę samobójstwa.

A jednak sam przyznaje w liście swoim do Pulcinelliego, jak bezzilną jest jego filozofia (1 Sierpnia 1827 roku): „Znużyło mnie życie, równie jak filozoficzna na wszystko obojętność, ta jedyna radykalna lekarka na nędzę i zawody życia ludzkiego, bo i ona tak samo nuży i zawodzi. Zamiary moje i nadzieje określić mogę jednym wyrazem: *śmierć*. I powiedz sam, czyż warto było zrujnować zdrowie w wyczerpującej pracy, aby w końcu do takiego dojść rezultatu!”

Leopardi wśród tych co go kochali znajdował przede wszystkim adeptów i wielbicieli, którzy onieśmieleni olbrzymią jego wiedzą, nie umieli wyrzec słowa pociechy, schlebając tylko jego poglądom. I tak, znajdujemy w liście Giordaniego pod datą 18 Czerwca 1820 roku następujące wyrazy: „Tak, drogi przyjacielu, kochać się nawzajem możemy zawsze, bo jakaż siła ducha pokonać zdoła? Ale pocieszać się niepodobna. Cóżbyśmy uczynić zdołali, przebywając razem? Moglibyśmy tylko wspólnie opłakiwać nad ogromem zbrodni i nikczemności ludzkich. Czuję to stanowczo, że zło bezpodzielnie włada światem i losami ludzkiemi, ale jakież na to znaleźć można lekarstwo?.... Powiem ci tylko, przyjacielu: gdy nadejdzie śmierć, przyjm ją jako jedyne dobrodziejstwo i wyzwolenie i bądź pewny, że tracąc życie, nie tracisz nic...”

Gniewał się i bronił Leopardi, gdy przyczynę jego pesymizmu upatrywano w cierpieniach fizycznych i niepowodzeniach materyalnych, zapewne był w dobrej wierze, gdyż nie mógł sobie zdać sprawy z tego, jakimi byłyby jego poglądy, gdyby poruszając się swobodnie, kosztując wszelkich rozkoszy życia; mógł poznać jego słodycze, zamiast przepędzać je w chorobie i niewysłowionych cierpieniach; gdyby zdobył wewnętrzną miłość kobiety, zamiast beznadziejnego uczucia. Ranieri zaznacza w swych pamiętnikach, że Leopardi dwa razy w życiu kochał się szalenie: „Ten człowiek ze wszech miar godzien lepszego losu, zeszedł do grobu w całej dziewiczej czystości, może właśnie dlatego, że dwa razy w życiu kochał bez żadnej nadziei bezmierną

miłością, gorejąc ogniem czystym i niepokalanym.”

A jednak tenże sam idealny Leopardi tak pogardliwie wyraża się o kobietach w liście swoim do Brighentiniiego 23 Sierpnia 1830 roku: „Nikczemność kobiet mnie przeraża, nie ze względu na samego siebie, ale trudno nie widzieć podłości, choćby nas nie dotknęła osobiście. Pewny jestem, że gdybym został sławnym i bogatym, (rzecz to niemożliwa, nie jestem przecie podłym ani łotrem), kobiety niewątpliwie starałyby się o moje względy. Ale w obecnym położeniu mojem, wyszydzany i pogardzany, nie posiadam nic, coby mi je zjednać mogło. Zresztą dusza moja zwiędła i zlodowaciała wśród ciągłych smutków i zawodów, a organizm tak mam wyniszczony chorobą, że nim zdołałem jeszcze pokochać, utraciłem już wszelką możliwość kochania. Żaden anioł piękności nie zdołałby obudzić we mnie miłości.”

Do 34 roku życia Leopardi przebywał w swym rodzinnym gnieździe Recanati, cały oddany nauce, ale widząc gromadzące się w rękopismach obfite plony swej pracy, zapragnął szerszej dla swej działalności areny; doktorzy miejscowi radzili też zmianę zbyt ostrego dla jego chorych płuc powietrza, wyruszył tedy do Rzymu. Zdrowie polepszyło się znacznie i Leopardi z całym zapalem studyować zaczął dotykane pamiątki tak ukochanej przez niego starożytności, pochłaniał skarby biblioteki Barberinich, poznał uczonych cudzoziemców, bawiących podówczas w Rzymie. Sławni Niebuhr głosił wszędzie wiedzę młodego uczonego, a nawet ofiarował mu katedrę uniwersytecką języka greckiego w Prusach, tej jednak przyjaźni nie mógł Leopardi, gdyż organizm jego nie mógłby znieść ostrego klimatu. Pomimo uznania, jakiego nie skąpiono mu w Rzymie, nie mógł się o własnych dochodach utrzymać, a gdy ojciec odmówił mu pomocy, smutny i zniechęcony powrócił pod rodzinną strzechę, gdzie znów rozpoczął smutny żywot wśród pracy i cierpień moralnych i fizycznych. Drukarz i wydawca dzieł jego Stella powołał go do Medyolanu, ofiarując stały dochód dwudziestu skudów miesięcznie. Mając zapewnioną tę skromną sumkę, Leopardi po raz drugi opuścił Recanati, odwiedził Rzym, Bolonię, gdzie bardzo serdecznie przyjęty, zabawił dwa miesiące, poczem udał się do Florencji, która była podówczas schronieniem wszystkich skompromitowanych politycznie; tu z zapalem przyjęty przez patriotów, widział sławę i wziętość swoich poetów, zdrowie też jego widocznie się polepszyło. Po dość długim pobycie wyjechał do Medyolanu, gdzie po pewnym czasie nieporozumienie z wydawcą goręczą napełniło jego duszę i zmusiło do powrotu do domu, gdzie tak ciężko zapadł na zdrowiu, że zdawało się, iż nie przeżyje zimy; z wiosną jednak przybyło mu sił, a gdy nalegano na niego, aby się ratował, wyjechał do Rzymu, gdzie pobyt posłużył mu znakomicie, następnie do Florencji, a na koniec do Neapolu, gdzie zamieszkał w Capodimonte, gdzie z każdym dniem przybywało mu sił.

Nagle wybuchła cholera, i, rzecz dziwna, filozof-pesymista, tak często wzywający śmierci, jako wyzwolenia, obawiał się do tego stopnia epidemii, że co prędzej opuścił Capodimonte i nie powrócił aż w lutym, gdy cholera ustała zupełnie. Pobyt w górach rozwinął jego chorobę, a morskie powietrze słabą przynosiło mu ulgę. Na wiosnę wybuchła cholera, z nową grasującą siłą, Leopardi jednak nie uległ jej wpływowi, a tylko nagle wodna puchlina zajęła serce w chwili, gdy układał plany nowej podróży. Zmarł 14-go Czerwca 1837 roku. Zwłoki jego, ocalone przez przyjaciół od wspólnego cholerycznych cmentarza, (z każdej choroby bez różnicy grzebano na nim nieboszczyków), złożone zostały w podziemiach kościoła świętego Witalisa, na drodze wiodącej do Puzzuoli; tam to marmurowa tablica, wmurowana w przysionku, wskazuje miejsce wiecznego spoczynku jednego z najsmutniejszych i najdoleńszych pisarzy z początku bieżącego stulecia.

Leopardi był wzrostu małego, bardzo szczupły, trzymał się pochyło, piersi miał wąskie i za-

padłe, głowę dużą, czoło wysokie i kwadratowe, nos cienki i długi, oczy błękitne bardzo piękne, patrzące łagodnie i smutno, uśmiech pełen słodyczy błdził niekiedy na białych i wąskich wargach; głos jego słaby i drżący, miał jedną dźwięk miły i przekonywający. W obejściu bardzo łagodny, rodzinę i przyjaciół kochał szczerze, do ludu lubił się zbliżyć i chętnie wchodził z wieśniakami w rozmowy.

Oto krótkie pośmiertne po stu latach wspomnienie wielkiego pisarza, którego rozbiór i ocena dzieł całe zająć może tomy.

Marya Milkuszyńska

POGAWĘDKA.

Z dniem każdym Warszawa wyludnia się. Wszystkie miejscowości podmiejskie dalszej bliższe przepełnione są letnikami, na kolejach ruch i tłok niezwykły, i według dawnego zwyczaj, w święta i niedziele do kasy na dworcach kolejowych dostęp nielatwy, a gdy wreszcie zdobyło się bilet upragniony po potach dziesięciokrotnych, następuje trudność nowa: zdobycie miejsca w wagonach. Tłum zwarty falą rzuca się na pociąg, pcha jeden drugiego bez względu na wiek i płeć, ale kto pierwszy, ten lepszy; że zaś grzeszność kawalerska niebardzo dziś płeć brzydką zobowiązuje, niewiasty zostają na peronie, biegają od drzwi do drzwi wagonu, lecz brak jest miejsc wszędzie, wagony przepełnione, a tu już po raz trzeci uderzenie dzwonka daje hasło do odejścia pociągu. Niepokój — panowie konduktorzy zostają obłożeni przez kobiety. Wreszcie jako tako załatwia się wszystko: ci się lżą, ci stoją, ci trzymają się baryery ganku, wbrew czernięcego rozporządzenia, że podczas ruchu pociągu na ganek wychodzić niewolno — i pociąg spacerowy rusza.

Że wszelki przykład idzie z góry, — kolejka Wilanowska jota w jotę naśladuje we wszystkim starszą siostrzycę swoją, a że jest młodsza i niedoświadczniejsza, odznacza się większym nieładem i brakiem wszelkiej subordynacji.

Już to bez przesady mówiąc, kto chce mieć boki całe i ubranie w stanie możliwym, w dni świąteczne niech się powstrzyma od przyjemności odwiedzin Czerniakowa, Wilanowa i Piaseczna. Studyjacy chyba obyczają ludzkie albo zwolennik przygód późniejszego rodzaju, pierwszy z miną filozofa, drugi fluta. mogą znaleźć zadowolenie w tych spacerach. Nieporozumienia i kłótnie nawet są na porządku dziennym, ostre słówka krzyżują się, że nieraz bierze ochota elegancko ubranego panieca za kark wziąć i precz wyrzucić, a damę wystrojoną spytać:

— Gdzie łaskawa pani otrzymała wychowanie?

Z pewnym smutkiem jednakże musimy tu zaznaczyć, że młodzież niedorośła płci męskiej odznacza się często złym wychowaniem. Niema tu mowy nawet o ustąpieniu na przykład miejsca kobiecie, choćby w wieku poważnym znajdującej się, — ale żarty dwuznaczne, rzucane w stronę kobiet, odpowiadanie niegrzeczne na zrobioną przez starszych uwagę smutne wrażenie czynią, boć to przecie z niedorośtka ma mąż wyrósć, na którego przyszłość patrzy. Rozumiemy, że czasem krewkość młodzieńcza nie pozwala mu zatrzymać języka za zębami, lecz coż powiedzieć, gdy jego niewłaściwe znalezienie się znajduje poparcie, obronę w wychowawczyni — rodzicielce.

Przed tygodniem byłem świadkiem podobnej właśnie sceny.

Pomieszały się obecnie pojęcia przyzwoitości. Moda wytwarza czasami dziwolagi, o których zdrowy rozsądek sam nie wie co ma sądzić. Ta moda, którą w „Maksymach” swoich nieboszczyk Pol wysmiewał, czyni to, że — co jest nieprzy-

zwoitem—na ulicy, przyzwoitem się staje—na polu mokotowskim.

Przed paru tygodniami odbyła się „Zabawa Wielka” na korzyść kasy teatrów warszawskich. Miejsce zabawy był plac wyścigów. Urozmaicało ją tysiące niespodzianek, bo muzyka, śpiew, pochód kostiumowy z heroldem na czele, corso ubranych kwiatami powozów, balon, spadochron, walka kwiatowa i rzucanie w oczy „confetti,” to jest: obsypywanie się wzajemnie różnokolorowymi papierkami. Dotąd wszystko w porządku. Kilkotysięczny tłum bawił oczy widza, herold na czele, a za nim kalwakada wozów charakterystycznych mogły się niejednemu podobać, kilka powozów ubranych kwiatami, jeden szczególnie, w którym siedziała jakaś piękność z opery czy baletu, wzbudzały palpitację amatorów sceny, papierki nikomu nie robiły szkody, usłaly plac tylko kobiercem wzorzystym, ale korona głupoty... Przepraszam!—zabawy—chciałem powiedzieć—jest muskanie się wzajemne piórkami pawimi kobiet i mężczyzn.

— Co to takiego?—spytaacie, jeżeli nieświadomi jesteście tej—nowości...

A o to jest.

Pierwszy lepszy facet z gukiem w oku, czy bez tej oka ozdoby, podchodzi do nieznanym sobie nawet kobiety i pawiem piórkiem muska ją po uszach, brodzie, szyi lub nosie. Zaczepiona w ten sposób, odpowiada mu podobnym musnięciem. Pary zatrzymują się, czasami i chwil kilka bawią się — w laskotkę. Sliczna zabawa, no — i rozumna!... Ale co jest dziwniejsze, że gdyby kto na przykład, na ulicy zaczepił w ten sposób żonę swoją lub córkę, to w ślepiach by mu sto świec zabłysło od krzesania, jakiegobym udzielił. Ale—na polu mokotowskim — uchodzi. Nawet dziwnem się tam staje, jeżeli kobieta niezadowolona okaże, plecami się odwróci, pięknem za nadobne nie odpłaci, piórkiem lub kwiatkiem pod nosem nie pociągnie. Tu inny zwyczaj—krzesanie byłby nie na miejscu, dowodem braku znajomości towarzyskiej zabawy, gwałtem publicznym. Dziwna logika. Impertynencya, przeniesiona z ulicy na plac wyścigów, jest—przyzwoitością. Warcho! uliczny jest na tym placu tylko—głuptasem. Ale—moda... Ona rozgrzesza wszystko.... wszelka zaś nowość—pociąga.

Nowość!...

Niestety! Ta nowość zrodzona przed laty kilku na bruku paryżkim—dopiero teraz na nasz się grunt przedostała. Mniejsza, że ludzie rozsądniejsi, w Paryżu nawet, wydrwili tę zabawę wzajemnego laskotania się; mniejsza, że i tam bardzo prędko straciło ono prawo bytu—ale, w Paryżu było. To dość! Myśmy zawsze mieli ku temu Paryżowi skłonność; prawda, że braliśmy ztamtąd tylko—piórka pawie.

Nie powiem, ażeby ta „Wielka zabawa” wielką mi przyjemność sprawiła. Przeciwnie—bezmyślność tłumy napoiła mnie smutkiem.

Dla czego?

Nie wiem!

Może byłem w usposobieniu takim, może ta „Wielka zabawa” łączyła się z wielkim obchodem Pałacowego w Złotej Pradze, może w tej chwili serca pulsa we mnie były: Czech... i nasz własny; może się dwie myśli tłukły w mózgu moim, przed duszą oczyma dwa zadania stawały,—dwa wichry wiały, dwa prądy unosiły się; może, gdy w tej chwili wymuskana dama po twarzy mnie muskała, mnie muskało wspomnienie jakieś—nie pawiem piórkiem; może w tej chwili przesunęły się przed myślą moją dwa tłumy wielkie i szły—przeciwkami całkiem drogami; może gdzieś widział pracę wytrwałą, wolę nieugiętą, spokojny lecz ciągły pochód naprzód do raz postawionego celu... Może to wszystko—i dlatego to piórko pawie takie maluchne, takie głupiuchne się wydało.

Mniejsza zresztą o mnie—ale czy bawił się wesoło ten tłum kilkotysięczny. Nie—po sto kroć powiem, nie! Tu i tam przepływała fala, bez gwaru, ruchu i życia. Gdzie nie gdzie tylko brzmiał śmiech, aczkolwiek sypały się „confetti.”

Dla czego?

Do rozwiązywania zagadka łatwa. Wszystkie corsa, walki kwiatowe, obrzucanie się papierkami są zagranicznym importem, nie mającym wspólnego z temperamentem naszego narodu. We Włoszech czy Francji, gdzie na ulicach Paryża tłum tańczy kadryla przy dźwięku muzyki—tłum cały jak jeden człowiek, oddaje się zabawom. Walka kwiatów nie odbywa się między małym gronem, *coute que coute* chcąc się bawić—ale masy całe narodu mieszają się, walczą z zapamiętaniem. Rozgrzewa się tłum, krew południowców bierze górę, choćby nad rozsądek—i jest rzeczywiście zapomnień chwila, w której piersi dyszą żądzą zabawy, a z dźwiękami muzyki łączą się okrzyki rozszalałego tłumy. Nie udaje się zawsze sadzonka przeniesienia z krajów ciepłych pod niebo chłodniejsze. Weźmiemy ją pod klucz nawet—a lichy owoc urodzi. Mimo to, w niepamięć poszły kuligi, mdłym światłem sobótczane ognie się palą—a corsa, confetti, pawie piórka... nudzą, ale mają stempel paryżki...

Rzadkim teraz gościem jestem w Warszawie, wypędzają mnie z niej upały, skwar letni, kurz i ten turkot nieciekawych, który nerwy rozstraja. Wpadam na chwilę tylko do miasta. Co słychać? pytam—zapisuję zebrane tu i tam wiadomości i ruszam w drogę powrotną.

Dowiedzieliśmy się tedy o zmianach, jakie zaprowadzone być mają w reżyserii Dramatycznego Teatru naszego. Oto ma być utworzoną nowa posada inspektora repertuaru, którego zadaniem ma być czuwanie nad doбором repertuaru, kwalifikowanie do wystawienia utworów dramatycznych, rozdzielanie ról i w ogóle nadzór nad wykonaniem artystycznym sztuk grywanych w teatrze Rozmaitości. Zwierzchnicze stanowisko ma objąć dobrze scenie naszej i literaturze zasłużony p. Wincenty Rapacki.

W doniesieniu tem gazet, zdaje nam się, że zaszła pewna niedokładność, słyszeliśmy inną nieco wersję. A mianowicie: stanowisko reżysera, jakim było dotąd, takim i nadal pozostanie — t. j. pozostaje przy nim rozdanie ról aktorom, czuwanie nad wykonaniem, zaleconych do grania sztuk i t. p. Równorządne temu stanowisko ma mieć urząd inspektora, którego zadaniem będzie czuwać nad repertuarem, przyjmować sztuki lub odrzucać. W ten sposób podzielona zostanie praca reżyserska, bo rzeczywiście nadmiar ciężaru, jak dotąd, jedno tylko barki znosić musiały. Reforma ta może wyjść teatrowi na dobre, a mamy prawo sądzić, że pan Wincenty Rapacki z zadania wywiąże się dobrze.

Mimo ogródkowych teatrów, które codziennie prawie wypełnia spragniona lepszych widowisk publiczność, i teatr Letni nie świeci wcale pustkami. „Zazdrośnica” Bissona cieszy się stałym powodzeniem, widzowie śmieją się do rozpuku, a dyrekcyja teatrów rada powinna być z nabytku.

Ożywił się też ruch publiczności i na wystawie retrospektywnej. Magnesem jest obraz mistrza Jana: „Kazanie Skargi.” Jak jednak zbladły kolory na tym obrazie, szczególnie ta część jego, gdzie prorok-kaznodzieja stoi i widmem przyszłości grzeszników do pokuty nagania. Słyszeliśmy, że temu nie były winne farby przez Matejki ukrywane, lecz restauracya znakomitego obrazu w Wiedniu.

Od paru tygodni w Towarzystwie sztuk pięknych, znajduje się wielki obraz Henryka Siemiradzkiego p. t. „Dorce chrześcijańska.” Koloryt, jak zawsze świetny, rysunek niezrównany, układ figur doskonały, a jednak... nie czujemy grozy. Jakiś chłód wieje z obrazu, i nie, ale to nie do serca naszego i wyobraźni nie przemawia. Piękny, bo piękny — ale wychodzimy tak obojętni, jak obojętni przyszliśmy. Wielkość męczeństwa, powaga śmierci ginie, maleje w przepychu cyrku Neronowego, z którego tronu, właściwie z baldachimem lektyki, złoto kapie, na którego łożu przepysznie łamie się światło południowego słońca i lśni jaskrawo w złotych arabeskach ga-

leryi. Ostatni ten obraz Siemiradzkiego nowego listka wawrzynu nie dodał do wieńca mistrza. Jak dotąd arcydziełami zostają „Wazon czy kobieta,” „Taniec wśród mieczów” i „Za przykładem bogów.”

Ale nie wiemy za czym przykładem idą warszawscy rzeźmieszkowie, których śmiałość wprost bezczelną się staje. Dawniej słyszeliśmy dość często o napadach, ale tylko w okolicach podmiejskich, albo w oddalonych miasta dzielnicach — obecnie rzeczy się zmieniły. Mimo czujności władz, bójkę na noże wciąż trwają, a śmiałe napady niepokoją najruchliwsze punkty naszego grodu. Nie tak to dawno jak po godzinie północnej dokonany został napad śmiały na restauracyę Wysockiego, znajdującą się na Krakowskim-Przedmieściu; przed paru tygodniami majówkarze na Saskiej Kępie bronili się przez noc całą przed najściem opryszków, a oto przed kilkoma dniami, o samej północy, na rogu Krakowskiego-Przedmieścia i ulicy Trębackiej, na przechodzących: Marcellego Radowskiego, malarza (Stare-Miasto nr. 18) i Wincentego Brodzkiego, nożownika (Stare-Miasto nr. 30), napadło dwóch czy trzech mężczyzn. Pan R. otrzymał nożem ciężką ranę w lewe biodro a p. B. ranę lekką w pierś z lewej strony. Radowski upadł i stracił przytomność, napastnicy zbiegli, Pogotowie ratunkowe pospieszyło nieszczęśliwym z pomocą, a dzienniki zanotowały fakt, podały go do wiadomości publicznej, napelniając dobrą otuchą mieszkańców, że... przyjdzie chwila, w której w dzień nawet biały na ulicy miasta bez niebezpieczeństwa pokazać się nie będzie można.

Napady te i ich śmiałość, smutne jednak budzą refleksy. Jesteśmy świadkami coraz większego obniżania się moralności mas — a przyczyna temu, czy w nędzy spoczywa, czy w wyuzdaniu pijackim, czy w ciemności głów pozabawionych wszelkiego światła, czy w uczuciu wyrodnienia i braku pojęć religijnych — na razie bez odpowiedzi pozostać musi, lecz bezpieczeństwo publiczne na szwank narażone jest nie na żarty a coraz częstsze i śmielsze wypadki napadów podobnych, powinno zaostrzyć władz czujność i zmusić je do zastosowania środków najenergiczniejszych. Końcowe łagodzenie każdej podobnej wiadomości tem, że *podobno* napastnicy i napadnięci razem wieczór spędzili, razem pili, wzajemnie się pokłócili i nożami się pokłuli — nie uspokaja nas wcale: napad napadem, zbrodnia pozostaje zbrodnią a zezwierzęcenie ludności, wyrobniczej szczególnie, wciąż naprzód postępuje i niedobre myśli nasuwa. Nie wyrwane z zarodku coraz bujniej rozrastać się będzie, a rośnie ono i rośnie, i bezsilną już okazuje się i czujność policyi, i wpływ kościoła i...

I co?

Chciałem powiedzieć—szkoła.

Łamigłówa rozwiązana jest prawie — Gdzie są szkoły dla dzieci—włóczęgów, wykolejonych i nędzarzy? a rośnie to jak chwast na polu, bez wiadomości dobrego i złego, bez pojęcia o Bogu i duszy własnej — Zło jest—lecz jak temu zaradzić i kto zaradzi temu?... Uwaga społeczeństwa powinna być w tę stronę zwrócona, użyte wpływy wszystkie. Jeżeli miłosierdzie nie grałoby tu roli przeważnej, to na plan pierwszy powinna wystąpić—samoochrona.

??

ZJAWISKO.

Ach już idziesz: widzę zdala,
Jak na srebrnych spływasz mgłach,

Jak się gwiazdek sto dopala

W twoich sukniach; jak po mchach,
Dyamentów skrzących rosą,
Drobną nóżką stąpasz boso!

Jakżeś śliczna! Na ramiona,
Na pierś twoją, kibić twą
Spada lekkiej mgły zasłona —
I ty sama jesteś mgłą,
Jak dzień białą — i zjawiskiem
Tak dalekiem mi i blizkiem.

O, przyjdź prędzej! tak mi śpieszno,
Tak mi tęskno do twych rąk —
Do twych piersi głowę grzeszną
Chcę przytulić, z serca mąk
Wypowiadać się i czekać
Na pokutę — i nie zwlekać!

I na lic twych patrzeć białosć,
I na błękit oczu twych,
Z których patrzy jakaś żalosć
Cichych smutków, smutków tych,
Co mi wiecznie towarzyszą
Z dnia zamętem, z nocy ciszą.

Ach, bo czasem mi się marzy,
Że cię tulę, że mam tu
Przy mej piersi, przy mej twarzy —
Że to nie jest wizja snu,
Tylko prawdą, i wcieleniem
Marzeń, ale nie marzeniem!

Nie! coś nagle rwie się, pryska!...
Z twoich oczu, z twoich lic,
Jak z sennego mar zjawiska,
Nie zostaje nic — ach — nic!
Coś cię z objąć moich bierze —
A ja wierzę i nie wierzę...

Mieczysław Glinński.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

Ewa i Magdzia ujrzały pana Żelskiego dopiero w czasie obiadu. Był to człek wielce ruchliwy i chwalcący się tem, że wszystko wiedział co się zdarzyło w okolicy lub w Rzeczypospolitej. Nosił długie wąsy, z węgierską zakręconą i często poprawiał czupryny. Niedawno stał po stronie Maksymiliana, ale natychmiast po koronacji, złożył przysięgę Zygmuntowi. Zbliżywszy się do panien, złożył im niski ukłon, wypaliwszy przy tem jakiś sążnisty komplement, submitując się ze swą atencją. Ewie jednak nie podołał się z pierwszego wejrzenia, i zaledwie zaczęła odpowiadać na jego grzeczności, wyraźnie ku niej skierowane.

Przez cały ciąg obiadu widać było, że pan Żelski ma coś na języku i czeka tylko sposobnej chwili, by to powiedzieć, bo wciąż pokręcał sterząc wąsy i kręcił się na krześle.

Wreszcie przy winie zapytał chorążego:

— Jakże tam, mości chorąży, nie słyszeliście czego de publicis?

— A cóż w takim zakęcie słyszeć można? — odparł chorąży. — Wprawdzie dziś rano Wolko, mój arendarz przywiózł z miasteczka wiado-

mość, że jakowaś bitwa została stoczona między wojskami królewskimi i arcyksiążęciami, ale to tam nieraz żydzi różne baśnie rozwożą po jarmarkach. Ja temu nie wierzę, bo to niepodobne do prawdy...

— Jakto, więc nie wiecie? — zawołał pan Żelski z tryumfującą miną. — Niema już przecie żadnej wątpliwości, bo do Krakowa przybył goniec, pan Ciekliński, który przyniósł wieść o wygranej. Hetman wziął do niewoli Maksymiliana, a z nim wojewodę poznańskiego, marszałka nadwornego, księcia Pruńskiego i wielu innych znacznych wodzów i oficerów, — między którymi znajduje się i wasz synowiec...

Pan Żelski wygłosił swe nowiny z takim pośpiechem jakby się bał, by mu kto nie wydarł przyjemności wyrecytowania ich przed rodziną. Patrząc przytem pilnie w twarz chorążemu, badając jakie wrażenie uczyniła na nim ostatnia wiadomość.

Oblicze jednak starego szlachcica nie drgnęło nawet; spokojnie postawił trzymany w ręku kielich na stole i zapytał zwykłym głosem:

— Zkądże wiecie wszystko tak dokładnie?

— Zkąd? A bom wczoraj tylko co powrócił z Krakowa, mam więc nowiny z pierwszej ręki.

— A o moim synowcu?

— Spotkałem się po drodze z jednym znajomym mi oficerem wojsk arcyksięcia, panem Znamierowskim; ten mi to powiedział...

— Ano, to dobrze, — rzekł chorąży z kamiennym spokojem.

Ewa i Magdzia, słychając tych wieści, obie pobladły mocno. Ewa ścisnęła pod stołem konwulsyjnie rękę Magdzy, która zawołała porywczo:

— Zkądże waćpan wiesz, że ów oficer nie kłamał, rozповідаjąc to?

— Ależ mościa panno, — odrzekł pan Żelski, — on tam był i widział wszystko własnymi oczyma; jakież zresztą miałby przyczyny zmyślać?

— Daj pokój, Magdzu, — przerwał chorąży ze wzrokiem surowym, — niema co powątpiewać ani zaprzeczać. Stało się i już; niema o czem gadać...

Głos jego tak był dziwnie spokojny i chłodny, wyraz twarzy tak surowy, że Magdzia zadrżała. Nigdy jeszcze ojca nie widziała takim.

Pan Żelski odjechał po obiedzie, a dziewczęta oddaliły się do swego pokoju, by się tam swobodnie oddać swemu żalowi.

Nad wieczorem przybył proboszcz, i obie musiały wyjść. Obmywszy więc zimną wodą splekane oczy, skierowały się ku dalszym komnatom.

— Ewciu, — rzekła Magdzia, — zostań lepiej i spocznij, — takas blada!

— Nie, — odrzekła Ewa, potrząsając głową, — chcę być silną, choćby mię to niewiem ile kosztować miało.

Zastaly chorążego i proboszcza siedzących przy kominie w jadalnej sali; obaj nawet nie spostrzegli wejścia dziewcząt.

— Teraz widzicie, księżu proboszczu, kogoście to bronili wraz z kasztelanową, — mówił chorąży. — I mnieście nawet przekonali, tak, żem już był przebaczył w polowie. Tak, tak, przebaczyłem mu w duszy, w chwili gdy miał dopełnić miary swej niewdzięczności! I kasztelanowa, niewiasta stateczna, dała się oszukać jego pięknymi słówkami. Ale cóż za dziw? Wszak ja sam ludziem się dotąd także. Lecz teraz dość tego; wyrzekam się stanowczo wszelkich związków z tą niegodną latoroślą mojego rodu. Od tej chwili, słuchajcie mię, księżu proboszczu, i powtórzcie to proszę wszystkim znajomym i sąsiadom: od tej chwili uważam go za umarłego i niech nikt nie waży się przy mnie wspominać jego imienia! Niech przepadnie, niech zginie wraz ze Zborowskimi, którym duszę zaprzedał, — ja go znać nie chcę! Nieszczęśliwy ów dzień, w którym przygarnąłem go do domu, aby wniósł do niego wstyd i zmartwienie, żem wychował zdrajcę i banitę! I tegom ja się doczekał na starość!

— Uspokójcie się, panie chorąży, — rzekł proboszcz łagodnie, — przecież nie wasza w tem

wina, bo wszyscy znają wasze życie zacne, strawione na służbie dla kraju; a tak zaciętym być dla krwi własnej także jest grzechem; powinniście przebaczyć mu dla miłości Boskiej...

— Ja przebaczyć? — zawołał chorąży z zaciętością. — Nie, księżu proboszczu, tego nie będzie, klnę się na wszystko; póki żyję, nie przebaczę, — na łożu śmierci nie daruję mu tego!

Słowa jego groźnie rozległy się po całej sali, i Ewa, nie mogąc już przenieść natłoku rozmaitych miotających nią uczuć, pochyliła głowę i padła zemdlona w objęcia Magdzy.

Chorąży na ten widok porwał się przerażony i począł wołać pani Katarzyny, która wpadła z drugiego pokoju i usiłując otrzeźwić zemdloną, gderała tymczasem, korzystając z przestrachu pana.

— A to wszystko pan chorąży narobił, — mówiła. — Trzeba tu było wykrzykiwać, Bóg wie nie co, trzeba było wpadać w taką pasję, że Pannie odpuszc, myślałby kto, że chłopiec nie wie czego się dopuścił!... O! teraz i bieda!

— Nie zrzedz, babo, a rób co należy! — krzyknął wreszcie chorąży, uderzając nogą w ziemię.

— Nic nie zrobię, — ofuknęła jejmość, ośmielona ważnością swej roli w onej chwili, — nic nie zrobię, jeżeli pan chorąży będzie stał tu i tupał, i straszyl to biedne dziecko!

Chorąży chciał wykrzyknąć babę, ale się pomiarkował i usunął się na bok, zostawiwszy ją przy Ewie, która niebawem otworzyła oczy i zawstydzona swą słabością, ukryła twarz na piersiach Magdzy.

— Nic mi już nie jest, — odpowiedziała na pytania jej czynione. — Trochę mi się głowa zakręciła, ale to już minęło...

— Komu by się to w głowie nie zakręciło, jak nasz pan zacznie krzyczeć, — zamruczała pani Katarzyna, ale już na stronie, bo czuła do brze, że jak sternik, tylko w chwili burzy mogła rozkazywać i władzę swą wywierać.

Chorąży po chwili zbliżył się do Ewy, która siedziała, wsparłszy się na rękę a ciche łzy spływały po jej zbladłym licu.

— Nie płacz, moje dziecko, — rzekł, patrząc na nią, — on ciebie nie wart, — to zdrajca, który zdradził króla, zdradził kraj, zdradził i to nazwisko uczciwe, które nosi! Przestań już myśleć o nim! Da Bóg, znajdzie się taki, co potrafi lepiej cię ocenić, co nie zawiedzie wiary w nim położonej! Postaram się byś była szczęśliwą, bo mi ciężą na sercu twoje łzy sieroce.

— Dziękuję wam, wuju, za wasze serce ku mnie, — rzekła Ewa cicho, — ale ja nie chcę być szczęśliwą...

Chorąży spojrział na jej główkę opuszczoną boleśnie i gniew go ogarniał nieprzejednany; zacisnął pięść i mruknął, pogroziwszy nią w powietrzu:

— Zdrajca niegodziwy! Nie przebaczę mu, jakim szlachcic, nie przebaczę!

Ewa i Magdzia obie przepędziły noc bezsenne i we łzach, i gdyby pan Jan wiedział, jak te dwa niewinne serca oplakiwały jego postępek, byłby jeszcze więcej zlorzeczył losowi, który go znów wtrącił na drogę, na którą po raz drugi wchodzić nie powinien był.

Podczas dni następnych Ewa znów stała się spokojna i cicha, ale pobladła i straciła zupełnie wesołość; Magdzia zaś, choć smutna była bardzo tak z powodu własnego zawodu jak i ciosu, który dotknął przyjaciółkę, lecz nie traciła nadziei pomimo wszystko; jej energiczna natura gotowa była stanąć do walki z przeszkodami i trudnościami, byle dopiąć swego:

— Ja mu nie pozwolę przepaść, mówiła sobie, szybko ocierając łzy, gwałtem ciskając się do oczu, — nie, ja muszę postawić na swoim! Boże, Boże, jakże to ciężko z tymi chłopcami!... Proś błagaj, gniewaj się, wszystko daremnie. Wieczny z nimi kłopot! Nie wiem jak to można tyle zmartwienia przynosić swoim, — jabym się już upamiętała nareszcie. Bo ciekawam o co tam idzie tak bardzo, czy Maksymilian czy Zygmunt zasiądzie na tronie? Słyszałam jak pan stolnik mówił, że już tam w Krakowie nie radzi są królowi, — to czyż warto krew przelewać o to, kto

będzie panował, kiedy się zawsze znajdą tacy, co będą niezadowoleni?

Pan Żelski od pewnego czasu zaczął bardzo często zaglądać do Bobrowic, bo wioska jego leżała niezbyt daleko stąd, koło Wąchocka. Choraży go znał dawniej lecz niezbyt go lubił, choć przez gościnność nie okazywał tego.

Żelski był niezmiernie grzecznym dla pannie, ale wyraźnie szło mu głównie o pozyskanie względów Ewy, starając się ją ubawić swym opowiadaniem o dworze królewskim, który widział w Krakowie. Daremne jednak były te usiłowania, bo Ewa za owe przywiezione wieści znienawidziła go prawie i ze wstrętem uciekała od jego towarzystwa, wynajdując rozmaite powody, by nie wychodzić w czasie jego odwiedzin.

Nie zrażało to jednak cierpliwego kawalera; przyjeżdżał regularnie co dni cztery i pani Katarzyna przezwala go nawet, febrą-czwartaczką, bo go także nie lubiła.

Wieści o wygranej bitwie nieodrazu znalazły wiarę nawet w Krakowie, dopiero gdy poseł Cielkiński przywiózł od hetmana wiadomość o niej 28 Stycznia, uwierzono nareszcie, że Maksymilian wzięty. Na sejmie, który w tym czasie, z powodu niepewności co do zwycięstwa, bardzo spokojnie się odbył, a uchwały przechodziły bez sprzeczek i szybko, — postanowiono już kary na stronników arcyksięcia. Niedługo potem ogłoszono je uniwersałem po wszystkich województwach, oraz na rynku krakowskim.

Brzmiały one tak:

„Ci co jeszcze z bronią w ręku z arcyksięciem rakuskim walczyli, ogłoszeni za nieprzyjaciół ojczyzny, — wolno ścigać ich osoby a majątek na skarb publiczny zabierać.

„Ci co się dopuścili gwałtów i najazdów i jeszcze zbrojni pozostawali w kraju przez instygatora publicznego zapozwani, stawić się byli powinni w biegu niedziel czterech, przed sądem, złożonym z ośmiu senatorów i tyluż posłów. Przeciwno tym, którzyby nie stanęli, instygator jak z przekonaniem poczynać miał, starostowie i szlachta winni mu byli pomagać; — a gdyby który z nich tak możnym był, żeby mu jedna ziemia lub powiat sprostać nie mogły, tedy nam będzie wolno inszych województw przyległych tyle, ile będzie potrzeba przeciwko niemu ruszyć. Wszakże gdzieby szturm jakiego było potrzeba pieniężnym żołnierzem to ruszenie posilić będziemy powinni.

„Ale wszystkie, którzyby choć przeciwni nam, a z pokojem jednak siedzieli i Rzeczypospolitej nie turbowali, nietylko od kar ale i od pozwów wolne czynimy. Z tych także, którzy wedle uchwały wiślickiej, nie stawili się na pospolite ruszenie i wybrańców nie dali, dla dobra publicznego winy znosimy.

„A iż wiele na tem zależy aby pewność była wiary i animuszów ludzkich przeciwko nam, już za łaską Bożą królowi koronowanemu, dla dobra wszech i uspokojenia Rzeczypospolitej snadniejszego; aby wszyscy senatorowie, duchowieństwo i szlachta wiarę nam oddać i w grodach poprzyśiądź w przeciągu czterech niedziel powinni byli.

„Winni obrazy majestatu lub zмовы z postronnymi na zgubę ojczyzny, mają się stawić przed sądem, ale z pocztą nie więcej wynoszącym nad osób dwadzieścia.

Zaiste, żelaznej ręki musiał być król, któryby utrzymał w karbach takich poddanych, na których poskromienie jednego województwa było zamało i niedziw, że Rzeczypospolita nie zdołała znieść tylu królewiat w łonie swoim.

Na owym sejmie uchwalono jeszcze więcej praw do ukarania wicherzących oraz zabójców, a także do nagrodzenia tych, którzy ponieśli szkody w czasie interregnum. Z powodu groźnej postawy jaką przybrała Turcja, uchwalono także dość znaczne pobyry; niestety, spadły one całkowicie na mieszczan i na żydów, jak wszędzie zresztą wówczas.

W końcu zdobywszy się na uznanie zasług króla Stefana po śmierci, stany koronne nadały indegenat obu Batorym, mianowicie Andrzejowi i Baltazarowi, i tu jeszcze zastrzegając warunek,

że kardynał prymasowstwa nie będzie mógł posiadać.

Król, idąc za radą hetmana, nie kazał, na wieść o zwycięstwie, strzelać z dział, ani bić w dzwony. W cichości, bez żadnego przepychu udał się tylko do kościoła, gdzie odśpiewano Te Deum, na podziękowanie Bogu za zwycięstwo. Ale lud za to głośnie krzykami objawiał swą radość, bo trudno pospółstwu zabronić wybuchów wesela, gdy mu się one wydzierają z głębi przepełnionego serca.

Wysłano natychmiast do Maksymiliana Maciejewskiego, biskupa łuckiego z pocieszeniem od króla i z prośbą, by arcyksiążę dobrze chciał tuszyć o uprzejmości królewskiej ku sobie.

Zastanawiano się długo na radzie królewskiej, gdzie osadzić jeńców. Po długim wreszcie namyśle wybrano dla Maksymiliana Krasnystaw, zaś dla polskich panów Kwidzynie.

Opaliński widząc, że znaczenie Zamojskiego znów przez owo zwycięstwo urosło i że dawny jego nieprzyjaciół, Górka leży teraz spętany, postanowił znów zbliżyć się do hetmana, a nawet na sejmie starał się usilnie o wynagrodzenie go za poniesione trudy w starostwach: Krzeszowskim i Zamechskim. Tymczasem Jan Zborowski robił starania, aby bracia jego, a zwłaszcza marszałek nadworny, mogli odzyskać łaskę i przebaczenie u tronu, i próbował uczynić to przez Opalińskiego, lecz spostrzegł, że ten jakoś znacznie ochłodł teraz dla ich rodziny. Kasztelan gnieźnieński przekonał się — już może nie po raz pierwszy w życiu, — że wraz ze zmianą fortuny i ludzie otaczający nas także się zmieniają.

W końcu postanowiono wyprawić uroczysty pogrzeb królowi Stefanowi, którego zwłoki zabalsamowane dotąd nie były złożone w grobach królewskich. Na uroczystość tę zjechała do Krakowa królowa wdowa, wioząc z sobą siostrę Zygmunta, księżniczkę Annę, księżęta siedmiogrodzcy, oraz ich posłowie na elekcyi: Gaspar Lorus i Wolfgang Kowacki, przytem posłowie innych narodów, wszystko to cisnęło się do katedry Wawelskiej, gdzie na wspinał się wzniesieniu ustawiony był katafalk, na nim stała trumna a w niej ciało bohatera.

Dokoła stało zgromadzone rycerstwo, których on niegdyś wiódł do zwycięstw, rotmistrze o twarzach ogorzałych i surowych, z bliznami otrzymanymi pod Newlem lub też w innych sławnych bojach, patrzyli na trumnę, zamykającą zwłoki ich wielkiego wodza.

Świątynia nie mogła pomieścić tłumów; obszerny podwórzec pełny był tak, że kawałka miejsca nie było.

Wśród zgromadzonych panów wyróżniała się piękna i szlachetna postać kardynała Andrzeja Batorego. Młody jeszcze, o nadzwyczajnym ujmującym obliczu, wśród którego błyszczały pełne wyrazu oczy czarne, pociągał wzrok ku sobie i tylko ślepemu uporowi szlachty przypisać należy, że tak zacięcie odrzucono jego obiór, kiedy wszystko przemawiało za nim, zarówno duch mężny i podniosły jak i powierzchowność szlachetna, a nawet dokładna znajomość mowy naszej.

Sam Batory nie bez pewnej ciekawości popatrzył jak wygląda ten król, którego na elekcyi przeniesiono nad niego i nad Maksymiliana. A ujrawszy go naprzeciw siebie, w ławce królewskiej, obok królowej wdowy i królowej Anny, zaledwie powstrzymał wyraz politowania na jego widok. W istocie, obaj ci ludzie, jakby dla większej sprzeczności stali tam naprzeciw siebie i trzeba przyznać, że obok prawdziwie męskiej postaci Andrzeja bardzo nędznie wyglądała powierzchowność nowo obranego króla. Sam kardynał czuł to bardzo dobrze; z jakąś gorzką dumą, nie wolną od ironii spojrział na panów i senatorów, otaczających go, jakby chciał zapytać: „Więc to jego przeniesliście na demnie?”

Niegdyś król Stefan marzył o polskiej koronie dla synowca, a i on sam gorąco tego pragnął. Wciąż prawie przebywał przy stryju, ucząc się mowy i praw krajowych, przywiązawszy się już do narodu, nad którym, jak sądził,

będzie panować w przyszłości. Król, w chwilach kiedy go goryczą pojono, zniechęcony mawiał: „Nie, ty nie wytrwasz z nimi, oni cię zagryzą.” Zamojskiemu zaś rzekł, gdy ten wspominał o koronie dla Andrzeja: „Chcesz-że tego młodzieńca na takie jatki wydać?” Ale młody Andrzej powtarzał w duchu z ufnością i wiarą we własne siły: „Wytrwam, przemożę ich upór w końcu poznają, że wszystko się czyni kwoli ich dobra.”

Teraz stał i patrzył spokojnie na swego szczęśliwego współzawodnika, a wspomniawszy na przykrości doznane przez stryja, myślał: „Poczekaj, nie wiesz ty jeszcze, jak ciężka owa polska korona!”

Niektórzy starzy wojacy patrzyli nań życzliwym wzrokiem i niejednemu z nich w myśli powstało pytanie:

— Czemu to który z krewnych naszego dzielnego króla nie panuje nam teraz, zamiast onego Niemca z za morza, który pewnie nawet konia porządnie dosiąść nie potrafi?

Ale gdy ponure Requiem rozbrzmiało po świątyni i zaczęto zdejmować świece z katafalku, płacz i westchnienia obili się aż pod stropy świątyni; ci sami, którzy za życia krnąbrnością swą niejedną gorzką chwilę zgotowali bohaterowi, pamiętali teraz tylko jego wielkie czyny i myśli, z których niejedna legła wraz z nim na wieki w grobie.

Wspinały kondukt pogrzebowy pociągnął pod bramę katedry, a w ślad za nim ulatały westchnienia żalu, — na co patrząc Gaspar Lorus, jeden z posłów siedmiogrodzkich, ozwał się głośno, tak, że wielu z otaczającej szlachty mogło go słyszeć:

— Niech wasz król Zygmunt przypatrzy się i pocieszy tą myślą, że i jego czeka ten sam żal po śmierci, a za życia też sama zgryzota. Tak, tak, — mówił dalej, coraz bardziej się rozżalając, — płaczcie go, a czemuż za życia goryczą paśliście go wszyscy? Czemuście mu żywot zatruli? A nawet i po śmierci czerniono sławę bohatera, nie dano mu spokojnie spocząć w grobie!... Nie dość, że go zabili, jeszcze później pastwili się nad jego sławą!... Ach, płaczcie teraz po nim, a czemuż na każdym kroku spotykał tylko opór i niechęć? Cierniową koronę włożyliście na skronie bohaterowi naszemu; — a teraz sądzicie, że wypłacicie się łzami za te wszystkie chwile goryczy i żalu!...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kobieta niemiecka.

Rzecz prosta, że wobec tak niewesołych stosunków społecznych, wpływ i rola kobiety, — która w całym świecie cywilizowanym, jest niejako osią, około której obraca się życie towarzyskie — ogranicza się do minimum. O ile na początku bieżącego wieku kobieta niemiecka była prawdziwym wcieleniem romantyzmu, o ile w sławnej epoce zjednoczenia Niemiec wywierała ona wpływ doniosły na dziejowe wypadki i na objawy patryotyzmu narodu — o tyle obecnie, wobec stanowczej, dominującej przewagi utylitarnych, materyalistycznych tendencji, tamujących wszelkie objawy sentymentalizmu — kobieta niemiecka została zmuszoną usunąć się z widowni życia publicznego, na który utraciła swój wpływ pierwotny, i oddała się całkowicie życiu domowemu.

Gdzież jednak tkwi istotna, ostateczna przyczyna tej kapitulacji kobiety niemieckiej, tego dobrowolnego zrzeczenia się stanowiska, jakie ona w życiu społecznym zajmować winna? Czy temu winien mężczyzna, który, zaniedbując najelementarniejsze względy, należne kobiecie i lekceważąc rozmyślnie czy też bezwiednie psychiczne potrzeby płci żeńskiej, oddaje się całkowicie sprawom politycznym, ekonomicznym i filozoficznym i, pochłonięty kombinowaniem

idei, rytmów, dźwięków, linii i barw, nie kusi się bynajmniej i nie troszczy o rozbudzenie w duszy kobiety tętna jakiegokolwiek żywszego uczucia? Czy też, być może, sama kobieta niemiecka nie widzi przed sobą szerszych celów, i widnokrąg jej życia doczesnego nie przekracza granic domowego ogniska? Trudno w danym wypadku orzec, która z przytoczonych alternatyw uważana być winna za przyczynę, a która za skutek. Nie zastanawiając się dłużej nad tem, stwierdzamy jedynie fakt, iż kobieta niemiecka jest przede wszystkim,—jeśli nie wyłącznie,—gospodynią.

Nie skarży się ona jednak nigdy na swój los i niczem nie zdradza niezadowolenia i nie wyraża protestu przeciw takiemu pogwałceniu przy należnych jej praw i przywilejów społecznych. Pomimo to, niektóre powieściopisarki (np. Gabriela Reuter w swej powieści, a raczej ponurej autobiografii p. t. „Z dobrego rodu—historia cierpień dziewczęcia”) dowodzą, że wielu, wielu Niemkom zatruwa życie przeświadczenie, iż są pozbawione prawa „być kobietami.”

Nie ulega wątpliwości, że nie ustępują kobietom innych narodowości ani pod względem zdolności ani zalet moralnych; przeciwnie, są one nawet rozważniejsze i powściągliwsze od Francuzek i Angielek. Pomimo to z zupełną biernością poddaje się ona smutnej konieczności położniczego jedynie wydatkowania zasobów swej energii życiowej, pędzenia bytu jednostajnego i jałowego, obcego wszelkim silniejszym wzruszeniom i natężeniom nerwów i pogrążającego jej indywidualność w stan półśennej beczynności, wiodącej do zupełnego zaniku.

Niemal do tego przyczynia się brak autorów, którzyby utworzy swe pisały dla kobiet. Niemcy są jedynym krajem, gdzie poeci, powieściopisarze i dramaturgowie, dbali o swój styl i tendencje, wbrew ogólnie przyjętej zasadzie, przeznaczają dzieła swe wyłącznie dla mężczyzn.

Utwory, w których główną postacią jest kobieta, należą do rzadkości; zdawać by się mogło, że autor wprost stara się wykaazać jaknajmniejszą znajomość umysłu i serca kobiety. Skoro zaś nikt nie myśli o napisaniu książki, mogącej jeśli nie porwać, wzruszyć, to chociaż zająć kobietę,—ta ostatnia nie wiele czasu poświęca czytaniu. Ze względu zaś na to, iż powieści niemieckie nie grzeszą rozmaitością treści i niewiele różnią się między sobą, kobiety czytają byle co, bez wyboru, a i to nie z zamiłowania do literatury lub w celu kształcenia się, lecz jedynie dla zabicia nudów.

Młodość swą Niemka spędza w oczekiwaniu, by się o jej rękę oświadczył młodzieniec, będący uosobieniem owych dorodnych, rozumnych, wykształconych i szlachetnych bohaterów czytanych przez nią romansów. Nie przeszkadza jej to jednak być w zupełności przygotowaną na to, iż jej przyszły małżonek niczem nie będzie przypominać wymarzonego ideału i stanąć na słubnym kobiercu z całkiem pogodnym obliczem.

Wychowanie dziewczęcia niemieckiego ma na celu wyłącznie przygotowanie go do życia małżeńskiego. Żadne inne przeznaczenie, inne cele życia uwzględniane nie bywają. W ostatnich dopiero czasach zaczęto zwracać niejaka uwagę na wyposażenie dziewczęcia w wiadomości specjalne (jako to: rachunkowość, stenografię, języki obce, malarstwo na porcelanie, na szkło i t. p.) po części aby stworzyć dlań nową polę działalności, przeważnie zaś dla dania kobiecie możliwości zarobkowania w razie, jeśli dochody jej męża nie wystarczą na pokrycie wydatków domowych. Jest to tem bardziej na czasie, iż rodziny zazwyczaj bywają liczne, warunki zaś bytu są wielce utrudnione. Nawet w sferach wyżej położonych dochody są stosunkowo skromne. Następstwem tego z jednej strony jest bez porównania większy niż w innych krajach stosunek kobiet niezamężnych, z drugiej zaś—zadziwiająco długie odstępy czasu pomiędzy zaręczynami a ślubem, przeznaczone na to, by dać możliwość narzeczonemu zwiększyć dochody do normy, wystarczającej na utrzymanie rodziny.

Wykształcenie zawodowe należy jednak jeszcze do wyjątków. Ogólnie uważanem bywa za

dostateczne wykształcenie, pobierane przez dziewczęta na pensji, z którego w późniejszym życiu nic im w głowie nie pozostaje. Dość poważnie traktowana jest nauka gry na fortepianie i śpiewu, a postępy w tym kierunku Niemki czynią szybkie i znaczne, dzięki wrodzonej muzykalności;—jako też nauka języków obcych.

Od piętnastego zaś lub szesnastego roku życia (w którym to roku dziewczę przypuszczalnie kończyć winno szkołę) zaczyna się właściwa edukacja Niemki: wtedy to matka, ciotki, starsze siostry wtajemniczają ją w arkana sztuki kulinarnej. Prócz tego uczy się ona kroju, szycia, haftu, robót szydełkowych i t. p. Wreszcie, w uzupełnieniu wszystkich tych wiadomości, wpajają w nią przekonanie, że nie wypada kobiecie zbyt wiele mówić i że przede wszystkim szanować należy zdanie mężczyzny. To też Niemka okazuje się całkiem niezdadną do „bywania” w towarzystwie; nie umie ona zagać ani prowadzić rozmowy, ba, czuje się nawet wprost zgorszona widokiem Angielki lub Francuzki, flirtującej z mężczyzną. Zdanie każdego mężczyzny, w szczególności zaś ojca lub męża, uważa ona za wyrocznię, ośmielając się zaledwie z głupowatym uśmiechem potwierdzić je, uważając za szaleństwo chęć zaprzeczenia wygłoszonemu przez nich twierdzeniu lub przeciwstawienie swego własnego.

W osmnastym roku życia dziewczę wprowadzane bywa „w świat,” t. j. w takie towarzystwa, gdzie napotkać można jak najwięcej kandydatów do żeniactwa. Oczywiście, sfery towarzyskie wybierane bywają odpowiednio do stanowiska, jakie rodzice panienki zajmują w hierarchii społecznej. Jednocześnie w salonach krewnych jej od czasu do czasu odbywają się rauty rodzinne, na które krewni i bliżsi znajomi zobowiązani są sprowadzać znajomą młodzież, a nawet znajomych swoich znajomych, odpowiadających temu otoczeniu stanem i powierzchownością.

Pozatem, w wielkich miastach rodzice prowadzą córkę do teatru, do muzeów, słowem wszędzie, gdzie bywa młodzież, z pośród której mogliby sobie dobrać zięcia.

Jeśli zaś i te środki nie poskutkują, jeśli córce grozi staropanieństwo, wówczas rodzice odbywają z nią pielgrzymkę po „badach,” rozrzuconych nad brzegami morza Bałtyckiego lub Północnego, po różnych stacyach klimatycznych i kąpielowych w Czechach i Tyrolu. Rokrocznie w miejscowościach tych pod koniec sezonu kojarzy się mnóstwo par, o których związku przed wyjazdem mowy nawet nie było.

Po ślubie Niemki nie jeżdżą już do wód, ani nad morze, nie chodzą do teatru, ani na zebrania towarzyskie, chyba, aby dopomóc młodszej siostrze, krewniej lub wreszcie własnej córce do znalezienia męża. Są to też jedyne wypadki, w których Niemka zwracać musi uwagę na stroje. Zresztą Niemka, z wyjątkiem Wiedenki, nie ma najmniejszej umiejętności, wytworności i smaku w ubieraniu się, i choćby sprowadziła sobie suknię z Paryża, nigdy nie będzie ubrana sztywnie i gustownie.

W obec tak mało urozmaiconego trybu życia kobiety niemieckiej, nasuwa się pytanie: „czyż nie ma ona żadnej rozrywki?” W rzeczywistości istnieją dla niej dwie rozrywki: przede wszystkim muzyka. Przy najskromniejszych warunkach materyalnych, nie mając nawet środków na trzymanie służby, obarczona liczną rodziną—Niemka nie wyobraża sobie gospodarstwa bez pianina i zawsze znajduje czas na wygrywanie utworów Schumana, Schuberta i innych. Drugą rozrywkę stanowią dla niej cukiernie. W Monachium np. codziennie o zmierzchu ze trzydzieści cukierni i kawiarni jest wprost obleżonych przez kobiety z najlepszych sfer. Utarty zwyczaj nie dopuszcza mężczyzn—choćby najbliższych krewnych do tych zebrani niewieści. Panie i panny przynoszą tam wszelakie robótki ręczne i pochłaniając mnóstwo ciastek, spędzają dobrą godzinę na poufnej pogawędce.

Na prowincyi zwyczaj ten również jest przyjęty, z tą tylko różnicą, że damy nie pozwalają sobie więcej, jak na jedną filiżankę kawy i jedno

ciastko, a przesiadują za to w cukierni przynajmniej dwie lub trzy godziny, bez przerwy haftując, szyjąc i. . . plotkując.

Istnieje wreszcie specjalna klasa kobiet, które całe wieczory spędzają w kawiarniach, otoczone liczną dzieciarnią. Są to żony literatów, dziennikarzy, malarzy i rzeźbiarzy, którzy bez takiego audytoryum nie byłiby w stanie rozprawić o kwestjach estetycznych i sprawach zawodowych.

Widzimy tedy jak monotonnem jest życie kobiety niemieckiej. Biedaczka, nie ma nawet możliwości zająć się czynnie sprawami dobroczynności, które w innych krajach spoczywają głównie w rękach kobiet. Instytucje dobroczynne w Niemczech nie posiadają skutkiem tego tak wzorowej, drobniagowej organizacji, jak np. we Francji lub w Anglii.

Nie możemy jednak pominąć milezieniem jednego w swoim rodzaju stowarzyszenia, które cieszy się dużym powodzeniem, a ma na celu przygotowanie infirmierek dla szpitali i ambulansów w kraju Togo, Kamerunie, w południowo-zachodnich i wschodnio - afrykańskich koloniach. W szeregi tych infirmierek wstępują przeważnie panny z lepszych sfer, wysoko wykształcone, ale bez posagu, gdyż we wspomnianych miejscowościach nietrudno im jest znaleźć męża.

Niemki, podobnie jak Angielki, Włoszki i Skandynawki z łatwością aklimatyzują się w obcych krajach. To też wszyscy niemal dobrowolnie wygnańcy i urzędnicy kolonialni, przesiadając się, zabierają ze sobą żony, inaczej bowiem nie mogą sobie życia wyobrazić. W ogóle, przynajmniej trzeba, że w Niemczech pojęcia małżeńskie są wzorowe i że dzieci uważają matkę za ideał, za wzór doskonałości i marzą o tem, aby ich przyszła żona była tak dobrą, tak szlachetną, jak ich matka. Niemożna zaprzeczyć, boć to ogólnie jest wiadomem, że Niemki słyną nie tylko jako doskonałe gospodynie, ale i jako wzorowe matki rodziny „par excellence.”

Niestety, nie we wszystkich sferach społecznych Niemiec kobiety mają możność być zadowolonymi gospodyniami i przykładnymi matkami. Dotychczas mowa była jedynie o kobietach, należących do wyższych sfer mieszczańskich i do średniej klasy ludności. Rzućmy teraz okiem na położenie drobnej urzędniczki i robotnicy.

Pierwszej—czy to jako nauczycielce szkół publicznych lub prywatnych, czy jako urzędniczce pocztowej, telegrafistce, telefonistce lub wreszcie kasjerce, sklepowej nawet w większych magazynach, z trudnością przychodzi znaleźć męża. Nie zgodzi się ona bowiem nigdy wyjść za robotnika, większość zaś młodych ludzi, pracujących w tym samym co i ona zawodzie, poszukuje panien mniej lub więcej posażnych. A nawet w razie, jeśli znajduje ona męża wśród tych ostatnich, jest zmuszoną do dalszej pracy poza domem, gdyż dochody jej męża nie wystarcząłyby na utrzymanie rodziny.

Zamężne pracownice tej kategorii mają jeszcze wieczory, jako też niedziele i święta wolne i mogą zajmować się wychowaniem dzieci i doprowadzeniem domu do stanu „Gemüthlichkeit,” odpowiednio do środków materyalnych.

Dla robotnicy za to nie egzystuje już ognisko domowe, nie zna ona niedziel, ani świąt, ani wieczornych odpoczynków. Zajęta w fabryce w dni powszednie od piątej lub szóstej rano do siódmej lub ósmej wieczorem, w niedziele zaś i święta do południa, nie ma ona możliwości zająć się domem lub dziećmi, które pozostawione są samemu sobie do chwili, kiedy i dla nich wybije godzina północy do pracy poza domem. To też śmiertelność i przestępstwa kryminalne w zastraszający sposób szerzą się wśród dzieci tej sfery.

Dostęp do fabryk, warsztatów i w ogóle do pracy zawodowej otwarty jest dla kobiet niemieckich dopiero od jakichś dwudziestu lat. Z każdym rokiem jednak napływ ich zwiększa się znacznie i następstwem tej konkurencji jest coraz to znaczniejszy ubytek normy wynagrodzenia mężczyzn, do tego stopnia, iż obecnie częściej kroć połączony dochód męża i żony niewiele znaczniej bywa od dochodu, jaki dawniej

miał mężczyzna, dopóki kobiety do pracy nie były dopuszczane.

W obec tego wtargnięcie kobiety na pole pracy zawodowej, winno być uważane dla Niemiec za klęskę ekonomiczno-państwową.

Na szczęście, niemożna jeszcze nmiemania tego zastosować do skutków udostępnienia kobietom niemieckim wyższego wykształcenia, otwierającego inne, szersze pola działalności. Większość uczonych i filozofów niemieckich wrogą jest dopuszczeniu kobiet do tajników wiedzy i sztuki. W ogóle, jeśli weźmiemy pod uwagę dotychczasowe stanowisko kobiety w społeczeństwie niemieckim, skonstatować musimy fakt, iż kobieta w Niemczech bez porównania więcej niż w innych krajach napotyka przeszkod do zdobycia prawa być uznaną za samodzielnego członka społeczeństwa. Niektórzy uczeni twierdzą, że kobieta nie posiada odpowiednich kwalifikacji dla poświęcenia się karierze naukowej. Myśli ona i czuje inaczej niż mężczyzna, przeto uznaną być musi za niższą od niego. Inni znów jako dowód niższości kobiet w obec mężczyzn przytaczają fakt, iż w żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej nie ujawnił się dotychczas prawdziwy geniusz kobiety.

Argumenty te jednak niestrudno obalić. Po pierwsze, zbyt jest geniusz dla dźwignięcia nauki, niezbędne jest jedynie gruntowne, wszechstronne wykształcenie, a ilość kobiet i łaknących wiedzy jest bardzo znaczna; powtóre — geniusze nie spadają na ziemię jak meteory i w dziejach ludzkości przy bliższym rozważeniu znajdziemy zaledwie setkę prawdziwych geniuszów; wreszcie, jeśli chcemy, by się geniusz ujawnił, powinniśmy dać mu możność po temu.

Na tych zasadach parlament niemiecki w 1891 r. uchwalił otworzyć kobietom wstęp do uniwersytetów (wówczas we wszystkich już państwach europejskich i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej kobietom dozwolone było uczęszczać na wykłady uniwersyteckie).

Pomimo różnych trudności i obostrzeń, stosowanych względem kobiet przez egzaminatorów, przeważnie zaciekle „antifeministów”, z każdym rokiem zwiększa się liczba kobiet, zdających w wymienienie egzamina na patent dojrzałości w szkołach niemieckich. Patent ten jednak nie jest wystarczający dla przyjęcia do uniwersytetu: maturzystki muszą w tym celu poddać się nowemu, uzupełniającemu egzaminowi, który wszakże zdają wszystkie niemal celująco.

Że jednak doktorski dyplom nie daje kobiecie równouprawnienia z mężczyznami, przeto uniwersytety niemieckie liczą stosunkowo niewiele słuchaczek. Corocznie mnóstwo młodych, łaknących światła nauki Niemek wyjeżdża do uniwersytetów belgijskich, angielskich, francuskich, szwajcarskich lub włoskich, aby po ukończeniu nauk nazawsze w krajach tych pozostać; w kraju bowiem ojczystym mężczyznom jedynie wolno leczyć bliźnich, bronić niewinnych, opowiadać dzieje narodów lub rozjaśniać tajemnice stworzenia uczące się młodzieży obojga płci.

Praw tych odmawiają kobiecie w Niemczech na tej zasadzie, że naukowe zajęcia oderwałyby ją od obowiązków domowych i pozbawiły dzieci opieki macierzyńskiej. Tak twierdzą niepryjaciele „emancypacji” kobiet, co innego jednak mówią cyfry. W Stanach Zjednoczonych np. statystyka wykazuje na 100 doktorek wszelakich nauk 50 zamężnych i matek mniej lub więcej licznej rodziny. I każdy naocznie może się przekonać, że w domach tych rodzin panuje wzorowy porządek gospodarski i higiena i ciepło rodzinne nie mniejsze, niż w rodzinach niemieckich.

A zresztą, zajrzyjmy do historii. Czyż nie wiadomo, że u starożytnych Germanów medycyna spoczywała wyłącznie w rękach kobiet? Widać panowało wówczas w narodzie tym przekonanie, że skoro kobiety tak wprawnie koją i zblizniają rany serca i duszy, z tem większą precyzją potrafią leczyć choroby ciała.

I któż po wszystkie czasy i u wszystkich narodów był równie tklwym i niezmordowanym opiekunem, obrońcą i pocieszycielem słabych, prześladowanych, uciskanych i upośledzonych?

S. P.

OCZEKIWANIE

(Dalszy ciąg).

Pani Andrzejowa była przez pół roku zupełnie szczęśliwa. Stosunek jej do syna zmienił się do niepoznania, ch. ciał ułożył się w sposób trochę oryginalny, niejako odwrotny: Michaś stał się przewodnikiem, opiekunem, a nawet nauczycielem swej matki, a pani Halina niejako młodszą siostrą i wychowanką własnego syna, ale właśnie w ten sposób ziściły się najlepiej nieokreślone jej marzenia, bo takimi są w istocie bezwiedne tęsknoty i naturalne pragnienia każdej samotnej, znużonej duszy, zwłaszcza kobiecej.

Michaś również znalazł w pojednaniu z matką wiele przyjemnych niespodzianek, bo nietylko pełne ciepła i subtelnej tklwości kochające serce, ale i umysł, obdarzony niezwykle intuicyjną inteligencją, bogaty w znajomość życia i doświadczenie. Okazało się, że dużo z tak zwanych w kółku Michasia „kwestyj”, które były słabym tematem, jakkolwiek ożywionych, czysto jednak teoretycznych rozpraw, są tylko pozornie czemś obcym dla pani Haliny, bo podczas, gdy syn był ledwie lichym teoretykiem, matka była świetnym praktykiem, który wiele przeszedł i widział i umiał przytem patrzeć. Jeżeli więc nie od razu mogli się porozumieć, to głównie dlatego, że teoretyk miał na zawołanie moc gotowych terminów i formuł, w których praktyk nie mógł się zorientować i połapać; skoro się jednak dowiedział, że to ta stara, dobrze mu znana rzecz, tak się dziwnie nazywa, czuł się u siebie w domu, gdy teoretyk tymczasem musiał minąć nadbrać.

To też, na przykład, kiedy Michaś dowodził, że na świecie obecnie toczy się ciężka walka o byt, — matka, wiedząc już, że tak się mieni spędzanie nocy nad suknią, odnoszenie roboty w słotę lub mróz na bardzo odległą ulicę, wyczekiwanie po kilka godzin na parę rubli zapłaty, mogła powiedzieć, że od tej walki — oczy pełzną i chudną ręce, włosy plwiewają i tak żyć ciężko, doprawdy! A gdy się Michaś oburzał, że do roboty przy większych gmachach zjechali obcy mularze, a ci miejscowi za marny pieniądz muszą się tulać gdzieindziej, to w duszy matki wstawało straszne wspomnienie, że to już było przed laty i skutkiem tego, mąż jej, straciwszy stałe swe miejsce, musiał jak majster zwyczajny czepiać się drabin, aż się z nich jedna złamała.

Naogół więc, jeżeli nie w detalach, to w istocie swych dążeń, Michaś znajdował w sercu swej matki sympatyczne echo, a nieraz serdeczne żywe poparcie. Był tylko jeden temat, którego pani Andrzejowa nie chciała wcale poruszać — kwestya religii. Stała się ona nawet obecnie jedynym niepokojem, bo chociaż Michaś na prośby matki przestał z nią kwestyę tę wszczynać, nieraz w dysputach kolegów, którzy się teraz w mieszkaniu wdowy schodzili, rozprawiano o tem dość żywo. Właściwie sam Michaś najtrafniej streścić rezultat tych długich rozpraw, gdy kiedyś na zapytanie kolegi, cóż ty? — odpark: nie wiem! i niecierpliwie zwichrzył swą bujną czuprynę. Mimo to jednak pani Andrzejowej było ogromnie przykro słuchać, że można pytać o takie rzeczy, a jeszcze przykrzej wiedzieć, że syn jej wątpi. Była zaś po prostu przerażona, gdy siebie parę razy na podobnych pyraniach schwytała. Odpędzała się od tych myśli zawzięcie; gdy zaś to nie pomogło, uciekała do kościo-

ła i tam się modliła niezwykle długo i żarliwie a w tych modlitwach było coś podobnego do konwulsyjnego skurczu ręki, ściskającej drogi przedmiot, który się z palców chce wymknąć i potłuc na miazgę. Podobne modlitwy, oraz świadomość tego, że Michaś jednak „nie wie”, były jedynym cieniem w całej powodzi światła i ciepła, która od pamiętnego wieczora rozpromieniła jej smutną istotę i tyle wlała ożywczej rosy w splekaną grzędę jej serca, że świeżym kwiatem porosła. Wraz z duszą odmłodziło i ciało: czarne oczy nabrały blasku, i choć nie były to już dawne węgle płomienne, płonął w nich stale cichy promień łagodny, jak zorza gasnącego słońca. Pani Halina nabrała ciała, twarz wypełniała, cera odzyskała swą świeżość, ruchy się stały więcej żywe i elastyczne — i, gdy tak szła wysoka krokiem poważnym, lecz pewnym, zdawało się, że idzie jesienny dzień. Szron w ciemnych włosach był jedyną zapowiedzią zimy.

Ta nagle zmiana w usposobieniu i zewnętrzny wygląd wdowy, była częstym przedmiotem rozpraw wśród stałych gości pobliskiej piwiarni.

— Niech piorun trzaśnie! — zaczynał zwykle ślusarz Maciej, — kuma mi tak wygląda, że aż lubo patrzeć; człowiek sam przy niej młodszy. Jedrek! 4 piwa, gamuniu! za zdrowie kumy!

— Toż to nie stara kobieta — wtrącał sklepikarz — ileż ona ma? — najwięcej trzydziestkę!

— W wasze ręce, w moje gardło, — popijając z kufła, odpowiadał Maciej, — co sąsiad pleciesz Michaś ma 18, matka 38, jak obszył.

— Ba, ba, ba! — krzywił się mydlarz — moja kobieta ma ledwie 35, a przy niej jak stoczek przy świecy wygląda.

— A pamiętacie? toż to niedawno zdawało się, że ledwo zipie!

— Ha, ha! a teraz tobyś sąsiad dobrze zipał, jakby tak przyszło co do czego — uderzając mydlarza w kolano, śmiał się sklepikarz — bo trza państwu wiedzieć, że brunetka, jak musztarda, młoda — rzadka, stara — sucha, a średnia — sam smak i kolor i moc. Mam akurat świeży transport dla sąsiadów; 2 — 20 ze zwrotem słoika.

— Dasz pan na kredę, to wezmę — tak mówię, a przepowiadam, że będziemy mieli jeszcze wkamienicy weselisko, — kończył zwykle rozprawy tapicer, przyczem przymrużał lewe oko, co miało oznaczać, że ma pewne dane ku temu. A chociaż nie wiedział nic a nie przypuszczenia jego miały pewne podstawy.

Na tej samej ulicy, co pani Halina, mieszkał niemłody introligator i zarazem flecista orkiestry teatralnej, trochę odludek i oryginał, zresztą człowiek dość inteligentny, który, zarówno jak i wdowa, pochodził z lepszej sfery. Z powodu oprawy jakiejś książki Michasia, zetknęli się z sobą raz i drugi, a ta znajomość przelotna, poparta współnością pochodzenia, tradycy i wychowania, a także podobieństwem jeżeli nie kolei losów, to ostatecznym rezultatem, który ich oboje do niższego środowiska doprowadził, posłużyła gruntem do zażyłych stosunków. Jeżeli jednak pan Michaś Stawski od dość dawna żył dla pani Haliny coś więcej niż sympatyę, to w sercu wdowy uczucie to drgać zaczęło właśnie w epoce jej odrodzenia i prawdopodobnie stało się z kolei pierwiastkiem, potęgującym wzrost nagły pulsów jej życia. Wdowa już przedtem raz kategorycznie odmówiła fleciście, co nie zamąciło jednak ich dobrych stosunków, a obecnie lekka się po prostu, by starań swych nie ponowił, bo czuła, że trudno jej będzie powiedzieć: tak! przez wzgląd na syna, a może trudniej jeszcze nie! przez wzgląd na własne swe serce, gdzie wraz ze spokojem i szczęściem odezwała się struna, którą przedtem uważała za starganą i zniszczoną na zawsze. Te same jednak okoliczności, które zdawały się sprzyjać zamiarom muzyka, stały się w rezultacie pośrednią przyczyną nowego niepowodzenia. Jeżeli przedtem pan Michaś przyjął z rezygnacją słowa wyroku, to czuł obecnie, że ponowna odmowa nie będzie dlań tylko przykrością, lecz ciężkim ciosem. To też im wyraźniej domyślał się, że w sercu wdowy zaszła pomyślna dlań zmiana, tem większy go

strach ogarniał przed chwilą stanowczą. Im więcej pragnął, tem silniej się wahał, aż w końcu spóźnił się fatalnie.

Rok szkolny minął tak szybko, jak każde szczęście. Ogólna radość z patentu dojrzałości Michasia miała się wkrótce zamienić dla pani Haliny w ciemne źródło smutku i tęsknoty. Michaś musiał wyjechać do wyższego technicznego zakładu w daleką stronę. Matka wiedziała, że dla przyszłości syna jest to konieczne, nigdy jednak nie zastanawiała się dłużej nad tem, a do ostatniej chwili zajęta przygotowaniami do wyjazdu, nie podejrzewała, jak bardzo bolesną będzie dla niej rozłąka.

Dopiero gdy uderzył ostatni dzwonek, wdowa uczuła w swej piersi po prostu fizyczny ból, jakby nie serce dzwonka, ale jej własne ktoś targnął. Pociąg gwizdnął i ruszył—pani Halina zaś zadygotała, jakby ten ostry dźwięk przebił ją na wylot, a później z uczuciem chłodu w członkach zastygła na miejscu niema i zimna, jak bryła lodowca. Ciężkie wagony mijają ją coraz szybciej i szybciej; Michaś ze swego machał chustką; w końcu mignęła latarnia, jeszcze raz buchnął kłęb dymu, gdzieś w oddali zamigotały różnokolorowe światelka podniesionego sygnału — i znikło wszystko, a ona ciągle jeszcze patrzyła przed siebie jakimś wylekłym, osłupiałym wzrokiem i choć jej oczy były niezwykle szeroko rozwarte nie rozróżniała ani szyn, ani słupów telegraficznych, widziała tylko jakąś ciemną mgłę, w której migają jaśniejsze płatki białe, jak chustka Michasia. Dopiero kilkukrotne gwizdanie manewrującej lokomotywy wyrwało ją z odrętwienia; drgnęła, jakby ze snu zbudzona i sennym wzrokiem obejrzała się w około: za nią był pusty peron, przed nią pusta płaszczyzna zżętego pola, ale największa pustka była w niej samej w tej chwili. Powróciła tramwajem do domu, gdzie w nocy po raz pierwszy od kilku miesięcy powtórzyły się dawne objawy: wrażeń niezwykle ucisku w lewej piersi, brak tohu, niepokój i olbrzymie osłabienie; prócz tego dołączyły się nieznane przedtem kilkukrotne szybko następujące po sobie szarpania w sercu. Jednym słowem, była tak chora, że kilka dni zejść z łóżka nie mogła. A wstała tak zmieniona, że zdawało się, że te dnie — to lata. Potem zrobiło się jej znacznie lepiej, ale dawnych sił już w sobie nie czuła. W najbliższą niedzielę zjawił się pan Stawski, którego czekał tylko wyjazd Michasia i doczekał się mniej więcej takiej samej jak przedtem odpowiedzi:

— Nie! panie Michale, to już nie dla mnie, pono mi bliższa trumna, niż wesele! — przyrzeciem powiedziała to tak znękanym głosem i taki wyraz zmęczenia i smutku legł na jej twarzy, że flectista nie śmiał protestować, wstał, wziął cylinder i westchnawszy, wyszedł w milczeniu. Ledwie jednak zdążył drzwi zamknąć, pani Halina rozplakała się, może właśnie dlatego, że ani iskry dawnego uczucia nie mogła odnaleźć w swym sercu. I nietylko ta iskra, ale cała jej istota po wyjeździe syna naraz przygasała: cera zmierzchła, przymgłyły się oczy, przysłuchł umysł, wola i wszystkie uczucia. Stało się z nią coś podobnego, co się dzieje ze skrzypką, gdy jej włożą surdynkę; ta sama skrzypka, smyczek i struny te same, a jakże odmiennie brzmi cała melodia! Dźwięki głuche, słabe, przyciszone i smętne, jak śpiew śmiertelnie chorego człowieka. Takim tłumikiem dla duszy ludzkiej bywa tęsknota, a ona to właśnie po wyjeździe syna w duszy osamotnionej matki się rozsiadła. Z początku bolesna, jakby skoncentrowana w jednej komórce jej chorego serca, niezwykle ostra i paląca, rozplynęła się powoli po całej jej istocie, po-

grążając duszę w stały stan łagodnego smutku i apatii, graniczący niemal z melancholią.

Pani Halina, która przez pierwsze kilka tygodni po rozstaniu się z Michasiem, chwilami, szczególnie wieczorem, nie mogła po prostu wysiedzieć w pokoju samotnie, po pewnym czasie uspokoiła się ogromnie. Przestała szlochać po nocach, przestała rzucać się na kolana przed obrazem Maryi Panny i, kłęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzać niezmordowanie jedne i te same słowa: Matko Najświętsza, Matko Częstochowska, Matko Bolesna!... Sercowe jej ataki również osłabły; a jeżeli wszystkie podobne wybuchy zdarzały się czasami, szczególnie po otrzymaniu listu od syna, były coraz rzadsze, mniej silne, aż w końcu ustąpiły zupełnie. Wdowa stopniowo odzyskała apetyt, sen, a nawet zdawało się, iż go potrzebuje więcej, niż dawniej, bo choć zwykle kładła się dość wcześnie, wstawała niechętnie i cały dzień wyglądała, chodząc i pracując, jak zasniona: myliła się, chwila znowu opuszczała ręce z robotą wzdłuż ciała i patrzyła łzawymi, zamglonymi oczyma gdzieś w dal jakby zamyślona głęboko, choć nie myślała o niczem; nieraz szukała długo nożyczek, które leżały tuż przy niej, a czasami musiała sobie przypominać, czego właściwie szuka? i co ma robić? To też krzywiono się na nią i możeby wymówiono jej robotę, gdyby nie to, iż pani Halina po wyjeździe Michasia, zamiast rubla dziennie, brała tylko pół i jedzenie (prócz kolacyi), co w gruncie rzeczy, przy jej słabym apetycie, było bardzo tanio, szczególnie dla domów rodzinnych, gdzie jeden stołownik mniej, jeden więcej, nie prawie nie znaczy; przytem zupełnie już gratis pozostawała przyjemność odszepnięcia na zapytanie zaproszonego na obiad gościa: „qu'est-ce que c'est?”

— Ah, c'est une pauvre femme, — ściubie tam coś dla moich dziewczątek... Może pan dobierz sałaty — Izia przyrzadzała...

W rezultacie więc, pomimo swej opieszałości, miała pani Halina dnie wszystkie zajęte i od 9ej z rana do 8ej była zawsze za domem. Wieczory w domu różniły się od dnia głównie tem, że nie szła. Spędzała je zwykle w jeden i ten sam sposób. Zdejmowała zwierzchnie odzienie, zapalała lampkę przed obrazem, nastawiała mały samowarek i siadała na fotelu, gdzie często pograżała się w taki niemal kataleptyczny stan osłupienia, że nieraz i samowar zgaśł i cała kamienica już dawno spała, a pani Halina siedziała ciągle nieruchoma, wpatrzona w jeden punkt przestrzeni. Dopiero jakiś dźwięk, zwykle przeciągłe wycie syreny w pobliskiej fabryce, budziło ją z odrętwienia. Wtenczas z głębokim westchnieniem wstawała, zbliżała się do samowara, dotykała go oburącz, a widząc że chłodny, uśmiechnawszy się jakimś wprost rozdzierającym smutnym uśmiechem, zaczynała się rozbiierać z automatyczną powolnością i kładła się spać, zapominając czasem o wieczornym pacierzu. Nazajutrz wstawała późno jeszcze mizerniejsza, więcej apatyczna i przybita niż zwykle.

G. Daniłowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Artystka malarka, panna Natalia Dzierżek przybyła niedawno do Warszawy, ma w swej pracowni bardzo ładne i niezwykle obrazy i szkice, przedstawiające miejscowości bardzo mało znane, a jednak nader malownicze. Są to widoki Archangielska i jego okolic, robione z natury w czasie pobytu tamże panny D., oraz pędzla rzucane wspomnienia z drogi od Wologdy do Archangielska. Mianowicie śliczny jest obraz przedstawiający drogę leśną w zimie za Wologdą i sunące małe saneczki między olbrzymimi drzewami iglastymi. Widzieliśmy też w pracowni bardzo udatne portrety Mickiewicza, kopie z oryginałów Wańkowicza. Są to tak wierne i piękne wizerunki poety, że już artystka miała liczyć na nie zamówienia. Obok mnóstwa artystycznych drobiazgów, zapełniających pracownię panny Dzierżek, stoją i portrety z natury lub fotografii robione i obrazki pełne pomysłu i wdzięku poetycznego, z czego razem widać talent wrodzony i inteligencję. Życzymy serdecznie naszej pracującej w Warszawie kobiecie powodzenia a interesowanym polecamy zwiedzenie zajmującej pracowni (Alea Jerozolimska, 70, m. 20).

— W Ameryce, w Bostonie, odbyło się zebranie 150 delegatów rozmaitych kobiecych stowarzyszeń, które się zjechały w sprawie dobrowolnej pomocy w pielęgnowaniu ranionych w czasie obecnej wojny. Opracowano plan w jaki sposób żołnierze i majtkowie mają być ratowani i zawiązał się komitet mający działać wspólnie z komitetem męskim w czasie wojny. Kilka z uczestniczek odznaczyło się wybornymi przemówieniami, jak np. p. Ednah D. Cheney, p. Carrie Anders i p. Hattie E. Turner. Pięć tysięcy kobiet i dziewcząt amerykańskich wpisało się na ochotniczki „Czerwonego Krzyża” a na czele lekarz szpitala „Czerwonego Krzyża” objaśnia je i obznajmia z pielęgnowaniem ranionych. W najbliższym czasie, zastęp ten umiłowanych i inteligentnych dozorczyń przy łóżkach cierpiących wysłany zostanie do szpitali położonych najbliżej placu boju. Kobietom tym należy się istotnie wielkie uznanie za podjęcie oharne tak trudnego i niebezpiecznego stanowiska tembardziej, że to są po części osoby będące w możności przepędzania życia wygodnie dla własnych celów. A jakże to nam czasem trudno odwiedzić jednego chorego, wieczór spędzić z niezabawnym rekonwalescentem lub dowiedzieć się o służbę samotną w szpitalu!

— W Wiedniu, w bieżącym semestrze letnim zapisało się na wydział filozoficzny w uniwersytecie słuchaczek rzeczywistych 3, nadzwyczajnych 24 kobiet mniej niż zimą, tylko liczba słuchaczek rzeczywistych pozostała ta sama. Na uniwersytetach w Gratzu, Klausenburgu i Innsbruku pracują kobiety jako słuchaczki filozofii i nauk przyrodniczych. W ogóle zyskały sobie uznanie wielką pracowitością, zamiłowaniem w wiedzę i taktownem obejściem, tak że osoba słuchaczki uniwersytetu nie budzi tem ani zdziwienia ani nieufnej ciekawości. Na każdym niecodziennem stanowisku można to stanowisko albo osmieszyć albo umocnić właściwem zachowaniem i godnością.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 5 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.” Przekład Z. S.

Treść: Kilka słów o Leopardim z powodu setnej rocznicy jego urodzin, przez Maryę Milkuszczyk. — *Pogawędka*, przez ?? — *Zjawisko*, przez S. P. — *Oczekiwanie*, przez G. Daniłowskiego (dalszy ciąg). — *Kronika działalności kobiecej*.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,” arkusz 5. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.